NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. W Austryi: Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. W Niemczech: Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. **Kraków, 10 maja 1919.** **Nr. 19**

Lwów oswobodzony.



1) Grupa oficerów „Dzieci Krakowskich" z majorem Powroźnickim w pośrodku. 2) Artylerya polska przy pracy. 3) Reduta „Dzieci Krakowskich" 4) Ciężka artylerya przed pracą.

Treść numeru: Gdańsk portem polskim — Konferencya w Paryżu obraduje i t. d.

Od Wydawnictwa.

Dzisiejszy numer tygodnika z powodu strajku cynkografów wydajemy w zmniejszonej objętości.



Lwów oswobodzony: Pogrzeb ś. p. ppor. Mazanowskiego we Lwowie.

Lwów oswobodzony.

Po szeregu miesięcy nareszcie ucichły pod Lwowem salwy karabinów, znikł świst granatów i szrapneli. Lwów odetchnął! Dzięki wspaniałemu bohaterstwu wojsk polskich Ukraińcy zostali pod Lwowem rozgromieni, a linia bojowa odsunięta tak daleko od miasta, że już pociski ukraińskie go dosięgnąć nie mogą.

Najgorsze dni przechodziło miasto w czasie Świąt Wielkanocnych. Rusini zasypywali je huraganowym ogniem artyleryi wszelkich kalibrów, co spowodowało znaczne zniszczenie i wiele ofiar. Przyszły potem krwawe walki, które zabrały z szeregów polskich kilku dzielnych i wypróbowanych w wielu bitwach obrońców. W ostatnich zapasach polegli śmiercią bohaterską, między innymi porucznik Stanisław Wolak, jeden z najdzielniejszych obrońców Lwowa, uczestnik walk listopadowych. Zginął na Persenkówce w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych. W ataku na Sichów padł sierżant Stanisław Smyczyński, szef 3 kompanii I. pułku strzelców lwowskich. Ranny w nogę, schwytany został przez Ukraińców i w sposób barbarzyński przez nich dobity. Z tej samej kompanii strzelców i w tym samym ataku zginęli: strzelec Edwin Kozerski, legionista warszawiak, jeden z tych pierwszych, którzy we Lwowie 1 listopada z gołemi rękami rzucili się na żołnierzy ukraińskich, by zdobyć na nich broń, wreszcie 18 letni obotnik Adam Dubel.

Nadto z oddziału poznańskiego padło w jednym dniu czternastu żołnierzy, a pogrzeb tych bohaterów stał się dla miasta ogromną żałobną manifestacyą.



Lwów oswobodzony. S. p. ppor. Mazanowski zginął w obronie Lwowa.

Po ciężkich dniach trwogi przyszły jasne dni zwycięstw. Ofenzywa generała Iwaszkiewicza, mająca na celu odrzucenie Ukraińców od miasta, udała się w zupełności, a wojsko dało dowód ogromnego bohaterstwa. Nazajutrz po świetnem zwycięstwie wojsk naszych pod Lwowem, wydał dowódca brygady lwowskiej wojsk polskich Maczyński rozkaz dzienny, z wyrazami najwyższego uznania dla odwagi, dzielności i męstwa żołnierzy, biorących w tych walkach udział. Rozkaz kończy się następującym zwrotem:

„Nie wymieniam nazwisk w dzisiejszym rozka-











Lwów oswobodzony: 1) Kulomiot na pozycyi „Dzieci Krakowskich" pod Bartatowem. 2) Rozbita ruskimi granatami kaplica w Bartatowie. 3) Praca w okopach II. baonu 18 pułku piechoty. 4) Major Powroźnicki, komendant II. baonu 18 pułku piechoty. 5) Karabin maszynowy przy pracy.



Gdańsk portem polskim: Stare więzienie z wieżą.

zie — przyjdą one później — tu podnieść muszę, że wszystkie oddziały biorące udział w akcyi wczorajszej równie świetnie i nader dzielnie walczyły. Zasługą ich bohaterstwa, ich odwagi i sprawności bojowej zwycięstwo wczorajsze takie, jakiego dawno



Konferencya w Paryżu obraduje: Delegat Włoch minister Sonnino, który opuścił obrady konferencyi

nie oglądały mury Lwowa, a niewiele też widziała wojna światowa. To też czoło moje kłonię z dumą przed wszystkimi, którzy wczoraj walczyli i szczęśliw jestem, że Wy, lejący krew Waszą drogą szczodrze i hojnie dla Ojczyzny naszej, nazywacie mnie pierwszym wśród siebie. Za ten sukces wczorajszy w imie niu Najświętszej Sprawy naszej, niech mi wolno



Konferencya w Paryżu obraduje: Bankier dr. Melchior, przedstawiciel niemieckiego przemysłu.

będzie złożyć Wam najszczerszą moją podziękę, uznanie i głęboką żołnierską Cześć moją".

Rozkaz ten odczytano przed zwartymi szeregami wszystkich oddziałów, które brały w walkach udział.

Obok żołnierzy chlubne wawrzyny dostały się w udziale także oddziałom kobiet-żołnierzy, walczących z poświęceniem i samozaparciem od pierwszych dni ciężkich bojów o miasto. Podczas ofenzywy w dniu 20 kwietnia odznaczyły się szczególnie szeregowcy O. L. K. Halina Kowalska, Halina Wasilewska i Wiktorya Stokowska. Szły one prawie w pierwszej linii i mimo ognia nieprzyjacielskiego, wzięły udział w ataku piechoty na las Oświecę, las Gaj i Zubrze. Oddały przytem nieocenione usługi przebiegając pole wśród gradu pocisków i spełniając z poświęceniem powierzoną sobie funkcyę. Wszystkie uzyskały pochwalne uznanie nietylko komendantów i oficerów, lecz także żołnierzy.

Lwów odetchnął! Oby jak najprędzej w jego mury zagościł spokój i oby wreszcie ludność znękana tyloma przejściami mogła swobodnie powrócić do normalnej pracy.

Podajemy szereg illustracyi przedstawiających momenty z walk o Lwów i obraz zniszczenia, spowodowanego barbarzyństwem Ukraińców.



Gdańsk portem polskim: Brama historyczna w porcie.

Konferencya w Paryżu obraduje.

Oczy całego świata zwrócone są obecnie na Paryż, gdzie się tworzy przyszłą historyę ludzkości. W rękach kilkunastu ludzi spoczęły losy wszystkich



Konferencya w Paryżu obraduje: Generał Bliss, amerykański doradca wojskowy

narodów kuli ziemskiej, a od ich uchwał zależeć będą zarówno granice nowych państw wolnościowych, jak i byt narodowy tych narodów, które dzięki wojnie zrzuciły z siebie kajdany wiekowej niewoli i stanęły do pracy wśród wolnych społeczeństw. Także losy Polski rozstrzygają się tam w tej chwili. Za stołem radzieckim zasiadają najwybitniejsi politycy współcześni i najdzielniejsi wodzowie. Wszystkie narody wysłały do Paryża swych przedstawicieli, aby bronić swoich interesów i uzyskać jak najprzychylniejsze rozstrzygnięcie swojego losu. Uczestników konferencyi pokojowej wraz z całym personalem towarzyszącym dyplomatom obliczają na blizko dwa tysiące osób. Obecnie obrady konferencyi dochodzą do rozstrzygającego momentu. W tych dniach zjawić się mają w Wersalu przedstawiciele Niemiec, którym zostaną doręczone opracowane trudem kilkumiesięcznym warunki pokoju światowego.

Jak ze strony przedstawicieli koalicyi twierdzą, nie wolno będzie Niemcom dyskutować nad przedstawionymi sobie warunkami pokoju, ale muszą je podpisać bez zastrzeżeń. O ileby tego nie zechcieli uczynić, koalicya grozi okupacyą wojskową całych Niemiec i dalszemi represyami gospodarczemi.

W ostatnich dniach w łonie konferencyi paryskiej wybuchł zatarg o port w Rjece między przedstawicielami koalicyi a Włochami. Zatarg ten spowodował, że Włosi opuścili chwilowo obrady kon-



Konferencya w Paryżu obraduje: Australski delegat, premier Hughes

ferencyi. Jak jednak stwierdzają ostatnie wiadomości, udało się pośredniczącemu przedstawicielowi Anglii, L. Georgeowi, wynaleźć sposób kompromisowego załatwienia sporu i prawdopodobnie w chwili, gdy numer ten znajdzie się w ręku Czytelników, u stołu obrad w Paryżu zasiądzie znowu cała koalicya pogodzona i wewnętrznie silna. Dziś, kiedy mamy dostać do rąk preliminarze pokojowe, na które z napiętemi nerwami czekają wysłannicy niemieccy,



Gdańsk portem polskim: Staropolskie domy w Gdańsku

kiedy najświeższe wiadomości podają fakt przyjęcia naszych słusznych żądań w całości, bez żadnych poprawek projektowanych przez George'a, każde echo z Paryża odbija się między nami tysiącznem echem.

W. Horowicz.

Niespodziewany napad.

(Wspomnienia.)

W największej tajemnicy wydane zostały rozkazy. Po mozolnym odwrocie z Kielc, gdzie Moskale o mało nie ogarnęli całego oddziału strzeleckiego, znaleźli się ochotnicy polscy pod Szczucinem i Nowym Korczynem, aby bronić przeprawy przez Wisłę. We wschodniej Galicyi zwycięzkie wojska rosyjskie parły na Przemyśl i San, zaś od północy szła potężna armia ku Krakowowi, spychając armie państw centralcoraz bardziej ku Wiśle. Oddziały strzeleckie miały do ostatniej chwili trzymać brzegi Wisły i nie pozwolić, aby Moskale zawcześnie do Galicyi się dostali. Piłsudski po raz pierwszy rozwinął tu w całej pełni swe zdolności strategiczne i od dwóch tygodni blizko nękał napierające przeważające siły rosyjskie, nie pozwalając mu zbliżyć się do brzegów rzeki.

Co noc szły po cichu bataliony na lewy brzeg, albo pojedyńczo, albo większymi formacyami; robiono wyprawy po dwadzieścia i więcej kilometrów wgłąb Królestwa i tu nagle napadano na oddziały rosyjskie. Moskale zaskoczeni tak kilkakrotnie, nie mogli zoryentować się z jakimi siłami mają do czynienia, nie śmieli się też naprzód posuwać.

Dzisiaj kolej wypadła na batalion, w którym Stach służył. Po raz pierwszy miał się naprawdę znaleźć w ogniu. Zmierzch już zapadał, kiedy nagle ruch się zrobił po oddziałach.

– Idziemy! – poszedł szept. Z komendy przyszedł rozkaz, aby batalion przysposobił się do przeprawy. W żołnierzy poszedł jakby prąd elektryczny. Nagle przycichli wszyscy. Każdy przyciągnął silniej troki plecaka, przeliczył naboje i pilnie obejrzał karabin. W pół godziny z opustoszałej wsi nadbrzeżnej zaczęły się w mrokach nocy wysuwać kompanie i po cichu podchodziły ku brzegom Wisły. Stach także jak inni opatrzył broń. Szedł przejęty ważnością chwili. Idący obok kolega trącił go lekko kolbą.

– Będziemy na pewno się bili, słyszałem jak adjutant opowiadał, że mamy za wszelką cenę dostać się na tyły pozycyi artyleryi rosyjskiej, która wczoraj nadeszła. Jeśli tego nie dokonamy, przepadną nasze wyprawy, bo Mochy nas już więcej przez Wisłę nie puszczą.

– Ano, to i dobrze. Nareszcie spróbujemy.

– A jak ci na sercu?

– Lekko!... A Tobie?

– Mnie? – zaśmiał się z cicha – żebym tylko którego mógł dopaść!

– To co?

– Zatłukłbym na śmierć.

– No, no, żeby tylko oni ciebie nie zatłukli, uważaj Kazek.

Doszli do brzegu i rozmowa się urwała. Stali w nadbrzeżnych szuwarach, zasłonięci zupełnie gęsto rosnącą wikliną. Z dala dochodził cichy poszept wody. Nie widzieli jej, ale czuli jej mokry oddech. Stach oparł się na karabinie i zadumał.

Oto kilka miesięcy temu żegnał tę Wisłę w promieniach wschodzącego słońca, tam, daleko... Tam Hanka. Nie miał już od niej listu kilka tygodni. Co się tam dzieje? Ostatni list był taki jakiś obojętny, zimny. A jemu tu czasami tak tęskno za domem! I nagle przed oczyma stanął mu ten cichy ich pokoik, Hanka pochylona nad robotą, syn... Nie słyszał rozkazu.

Kazek trącił go energicznie w bok.

– Chodźmy!

Udeptaną ścieżką spuszczali się powoli ku rzece. Wreszcie ujrzeli ją. Spokojnie toczyła swe fale, z cichym pluskiem uderzając o brzegi. Ciemne sylwetki żołnierzy poruszały się na dwu promach, które stały obok siebie, przyjmując nadchodzących żołnierzy. Po chwili płynęli cicho po wodzie. Plusk wioseł mącił jej tonie, a fale smętnie łamały się pod naporem promu. Za chwilę stali już na drugim brzegu. Szybko sformowali się do marszu i utonęli w wiklinie. Tak szli z pół godziny.

Kolumna zatrzymała się nieruchoma. Od czoła odzieliło się kilkanaście postaci i rozproszyły w ciemności.

Po kilku minutach ruszono znowu.

– Nie palić i iść jak najciszej!

Rozkaz z ust do ust podawany przeleciał szeregi. Jak duchy przemykali się przez pole. W oddali czerniał las, do którego dążyli. Noc była ciemna, chmury zasnuły niebo, to też chwilami jeden drugiego trzymać się musiał, aby się nie pogubić. Na brzegu lasu kompanie znowu stanęły. Komendanci zeszli się na naradę, po chwili oddziały rozdzieliły się i kompania Stacha ruszyła pierwsza.

W lesie ciemności stały się jeszcze gęstsze. Stach co chwila zawadzał to o korzenie drzew, to o gałęzie, starał się jednak iść naprzód, czyniąc jak najmniej hałasu. Jego towarzysz klął z cicha.

Wreszcie od czoła kolumny przyszedł cichy rozkaz „Stój!" Wszyscy byli zmęczeni – przedzieranie się przez las trwało blizko godzinę, mimo to napięcie nerwów podtrzymywało energię i nikt nie myślał o odpoczynku.

W milczeniu stali czekając rozkazu.

– Bagnety na broń!

Szczęknęły żelaza i lekki błysk stali przepłynął pod zwieszonymi konarami drzew.

– Ładuj broń!

Chrzęstnęły zamki. Stach nerwowo odpiął ładownicę i systematycznie wsunął naboje w magazyn. Po przez konary drzew przezierał skrawek nieba, chmury rozsuwały się i gdzieś z przestworzy mruknęła ku niemu samotna gwiazdka. Mimowoli zapatrzył się na nią i zdało mu się, iż mruganie jej dodaje mu otuchy. Silniej ścisnął broń i spojrzał przed siebie. Las zaraz się kończył, a dalej szarzało pole zarosłe kępami krzaków.

Padła przyciszona komenda: „W tyraliery"! jak wąż zaczęła kompania rozwijać się na skraju lasu. Wreszcie ruszyli naprzód. Pochyleni, przekradając się od drzewa do drzewa, doszli do ostatniego ich szeregu i znowu stanęli. Stach wychylił się z za pnia, który go osłaniał i spojrzał na pole.

W oddali była wieś. Gdzieniegdzie błyszczały światełka, niektóre poruszały się.

– Więc to już! Tam Moskale! – przeszło mu przez głowę. Widział jak kilku żołnierzy chyłkiem wyszło z lasu i powoli poczęli podkradać się do wsi. Pełzali od krzaku do krzaku – jakiś czas mógł ich śledzić wreszcie zginęli mu w mrokach nocy.

Czekali.. jak długo stali – nie pamiętał.

Nagle te same postacie żołnierskie wyłoniły się z ciemności, patrol wracał. Padła komenda i linia cała posunęła się naprzód. Szli jak duchy. Każdy ściskał kurczowo karabin, wpatrzony w błyszczące we wsi światła. Kazek, który szedł niedaleko, w pewnym momencie podsunął się ku niemu i przykładając usta prawie do jego ucha, szepnął:

– Podobno pilnują, będzie ciepło!

Stach tylko nerwowo skinął głową.

Jak poszept cichy, przypłynął skądś rozkaz: Padnij! Stach poczuł pod sobą zagony ścierniska. Przytulił się do ziemi.

– Skokami naprzód!

Ubiegli kilka kroków i znowu padli.

Nagle w oddali kilkudziesięciu kroków, w ciemnościach nocy zamajaczyło coś przed krzakiem, ku któremu Stach ostrożnie się podsuwał. Człowiek?... Jeszcze raz podpełzali kilka kroków.

W tem z prawej strony z daleka huknął nagle wystrzał. Echo poniosło go po lesie. Odpowiedział mu w tej chwili drugi, trzeci...

– Spostrzegli nas – pomyślał Stach. Wprost niego krzak poruszył się, błysło, a nad jego głową coś żałośliwie zaświegotało. Równocześnie spostrzegł sylwetkę uciekającego szybko człowieka.

– Ognia! – rozległ się donośny głos. Nie można się było już dłużej ukrywać. Stach nerwowo ścisnął karabin, zmierzył w uciekającą postać i pociągnął za cyngiel. Równocześnie na całej linii zagrzmiała palba. We wsi zakotłowało się jak w ulu. Dolatywały z oddali okrzyki i nawoływania. Linia tyralierska szła już w pełnych skokach naprzód, strzelając gęsto.

Moskale byli widocznie na napad przygotowani, gdyż i od wsi zaczęły coraz gęściej nadlatywać kule. Z żałosnym świstem przecinały powietrze, uderzając tu i ówdzie głucho w ziemię. Stach przymknął na chwilę oczy, czuł dziwny zamęt w głowie. Tętna biły mu przyspieszonem tempem, opanowywało go dziwne jakieś odurzenie.

– Naprzód! Wyrzucić ich ze wsi!

Głośne hurra! było odpowiedzią. Strzelcy poderwali się z ziemi i jak huragan ruszyli naprzód. Wtem krwawy blask rozświetlił ciemności. Rósł on, potężniał z każdym momentem. Stach, który pędził z przymkniętemi pawiekami, roztworzył je.

– Acha, Moskale wieś palą – przemknęło mu przez głowę.

Od wsi nowa salwa, w mgnieniu oka dojrzał Stach, jak dwie, trzy postacie biegnących rozkrzyżowały ręce i zwaliły się na ziemię. Wściekłość go opanowała.

Przed nimi huknęło nagle: Ura! moskiewskie. A więc już dopadli! Zakotłowało się. W pewnym momencie w blasku ognia dostrzegł Stach przed sobą szary szynel i wykrzywioną, dziką twarz. Pchnął silnie bagnetem. Coś na nim nagle zaciężyło. Szarpnął i pognał dalej. Zewsząd otaczał go zamęt i wrzaski. W tem głową wyrżnął o coś twardego, aż mu w oczach wszystkie jasności stanęły. To go oprzytomniło.

Stał przed chałupą wiejską. Z dala widział, jak Moskale uciekają rzucając karabiny, za nimi gnali jego towarzysze. Napad się udał. Chwilę jeszcze trwała strzelanina i gonitwa. Moskale pierzchli w las, pozostawiając kilku jeńców, rannych i zabitych.

Zabrzmiał sygnał. Na ulicy wioskowej zebrała się kompania. Przy blasku płomieni przeliczyli się. Brakło pięciu. Trzech z nich leżało na zagonach pod wsią, a dwóch ciężko rannych przyniesiono po chwili na płaszczach.

Komendant ocierał pot z czoła. Twarz mu się śmiała, był zadowolony. Stach nadaremnie szukał oczyma swego towarzysza. W zamęcie stracił go zupełnie. Wreszcie gdzieś na końcu wsi dojrzał powoli wlokącego się Kazka. Podbiegł ku niemu.

– Co ci? Czyś ranny?

– Psiekrwie, przestrzelili mi rękę.

Krew ciekła przez rękaw płaszcza. Ostrożnie zdjął mu Stach ubranie, urwanym rękawem koszuli na prędce przewiązali ranę i opierając się na Stachu Kazek stanął w szeregu.

Zrozpaczeni mieszkańcy wsi biegali bezładnie w różne strony. A pożar szalał coraz potężniej, ogarniając coraz nowe budowle. Jak zapałki zapalały się strzechy jedna po drugiej, tak iż o ratunku prawie mowy być nie mogło. Stachowi żal się zrobiło biednych chłopów. Byłby chętnie biegł ratować, ale karność żołnierska trzymała go w szeregu.

Kapitan odwrócił się do adjutanta.

– Poruczniku, zabrać broń porzuconą przez Moskali. Wyznaczyć osobny konwój jeńców. Za kwadrans wracamy. Acha! Czy patrole wysłane za Moskalami już wróciły?

– Nie, komendancie.

– To źle. Musimy zaraz ruszyć, już świta – ręką wskazał na wschód.

Stach spojrzał we wskazanym kierunku. Na nieboskłonie, dotychczas ponuro czarnym, zaczął rysować się wązki, jasny paseczek.

W szeregach rozmawiano wesoło. Wszyscy mówili jeden przez drugiego. Tyle wrażeń przeżyli przed chwilą.

W tem na drodze od lasu, w którym zniknęli Moskale, zamajaczyło kilka postaci. Biegły one szybko ku wsi.

– Patrole! Patrole! – przeszedł szept po szeregach.

Oficerowie skupili się w gromadkę koło komendanta, adjutant pobiegł naprzeciw.

Po chwili w kręgu światła pożaru ukazało się kilku żołnierzy. Prowadził ich sierżant, który szybko podszedł do kapitana i chwilę z nim rozmawiał Stach dosłyszał tylko wyraz „kozacy".

Kapitan spokojnie zapalił papierosa, poczem zwrócił się do otaczających go oficerów.

– Panowie, już czas!

Szeregi zwinęły się na miejscu, rozpadły, a po chwili ostatni już żołnierze znikali w mrocznem wnętrzu lasu.

Purpurowe blaski przepełniały już powietrze, kiedy po szybkim a utrudzającym marszu kompanie spotkały się u przeprawy. Dzień wstawał, upalny dzień letni. Zmęczeni strzelcy ożywili się na myśl, że na drugim brzegu czeka śniadanie. Wszyscy wracali zadowoleni, mimo iż w każdym oddziale po kilku brakowało. Stach tęsknem spojrzeniem objął Wisłę, przypomniała mu ona Kraków.

Gdańsk portem polskim.

Jak Polska długa i szeroka, rozbrzmiewa dzisiaj jeden okrzyk z głębi piersi: „Gdańsk musi być polskim". Miasto to od setek lat stanowiło największy polski port, a dopiero w ostatnich czasach dzięki umiejętnej gospodarce niemieckiej otrzymało sztucznie urobiony charakter zewnętrzny niemiecki. Całą chytrością swą bronią się obecnie Niemcy przed tem, aby Gdańsk stał się napowrót polskim i powołują się ciągle na to, że on pełen jest Niemców i dlatego niemieckim pozostać winien. Ale



Konferencya w Paryżu obraduje: Nowy poseł amerykański w Paryżu Mr. Hugh. C Wallace

dość przejść się po mieście, aby stwierdzić, że na każdym kroku pełno jest polskich pamiątek. Wszystko co wielkie, cenne i wzniosłe wiąże się z wspomnieniami Polskiej Rzeczypospolitej.

Na śmigłej wierzy ratusza, wysoko pod chmurami, lśni ponad miastem złocony posąg króla Zygmunta Augusta w koronie, z berłem w ręku, trwający od r. 1561, wyraz hołdu ludności. Wewnątrz gmachu, na stropie sali ratuszowej, malowidło dekoracyjne, którego środkiem Orzeł Biały, roztaczający skrzydła opieki nad Gdańskiem. W przepysznych starych komnatach pełno pamiątek i symbolów Polski: tu karyatydy o uderzających sarmackich obliczach, tam bogato rzeźbione królewskie herby, ówdzie wydzwania jeszcze godziny zegar, który nieszczęśliwy król Stanisław Leszczyński zostawił Gdańszczanom w upominku za doznaną wierność, a przedewszystkiem orły, wszędzie białe orły, z jakąś dziwną obfitością rozrzucone na oddrzwiach, stropach, ścianach, kominkach.

To samo wrażenie towarzyszy nam wszędzie. Oto mieszkanie królów polskich, „Zielona brama", pełen przepychu gmach, zamykający główną arteryę miasta, na którym znowu Biały Orzeł rozwija skrzydła.



Lwów oswobodzony: Ogród Politechniki, zamieniony na cmentarz.

I na potężnych basztach dawnych obwarowań miejskich i w „Artushofie", odwiecznej giełdzie gdańskiej i na ślicznym wodotrysku Neptuna w środku miasta same Białe Orły. Na monumentalnej „Wysokiej Bramie", która za Zygmunta III otrzymała swą bogatą fasadę, widnieją herby polskie i królewskie. W „Artushofie" pełno polskich sztandarów, malowidła, portrety i posągi królów, wśród nich drogocenny, od czterech stuleci przechowywany posąg króla Kazimierza Jagiellończyka, któremu Gdańsk oddał się niegdyś w opiekę. Przy ulicy św. Ducha jest fundowana przez Sobieskiego kaplica królewska.

Zewsząd patrzy zastygła wielkość Rzeczypospolitej Polskiej. Prusy niemieckie pozostawiły tylko koszary, zaś wszystko inne stworzyła Polska. I ona też dzisiaj, kiedy odbywa się porachunek dziejowy, podnosi głos, domagając się oddania zagrabionego miasta. Mimo wszelkich intryg niemieckich, Gdańsk był i pozostanie polskim.

Za polskością Gdańska przemawiają illustracyjnie zabytki. Fakty to jaskrawo potwierdzają. Gdańsk posiada także ludność polską i to w zupełnie innym stopniu procentowym, aniżeli obliczały to tendencyjnie oszukańcze statystyki urzędowe. Mamy, tam nie dwa procent ogółu zaludnienia, lecz około 17 procent, czyli 30.000 dusz, a nie 4000 jak podawali pruscy rachmistrze.

Ludność ta z natury rzeczy żywi dla Prus uczucia nader wątpliwe i w demonstracyach, pochodach, przeciągających ulicami, tudzież licznych



Konferencya w Paryżu obraduje Delegat kanadyjski, prezes ministrów Sir Borden.

protestach, aż nadto jaskrawo akcentuje swoją prawowitą przynależność do Polski.



Lwów oswobodzony: 1) i 2) Rozbity granatami szpital żydowski we Lwowie. 3) i 6) Zniszczone mieszkanie prof. Abrahama przy ul. Długosza. 4 Rozbity dom przy ul. Zamojskiego. 5, i 7) Pogrzeb 14 poległych żołnierzy w obronie Lwowa.

Kronika tygodniowa.

Zdania ludzi są podzielone, jak się to zresztą zwykle zdarza na świecie: jedni twierdzą, że najkrótszym jest miesiąc luty, gdyż liczy najmniej dni, inni natomiast utrzymują, że maj, składający się tylko z trzech liter. Zupełnie innego zapatrywania na tę sprawę jest kronikarz, który, jako zrównoważony obywatel, przyjmuje drogę pośrednią i za najkrótszy miesiąc uznaje kwiecień.

Do tego wniosku doszedł głównie z tego powodu, iż w kwietniu nie miał nawet czasu wygadać się porządnie i zakończenie kroniki z ubiegłego tygodnia przenieść musiał na bieżący. Jak Wenus z morskiej piany, wyłoniła się z kałamarza w kwietniu jeszcze, ale światło dzienne ujrzała dopiero w maju i to w obydwu swych częściach. Kwestyom, w nich poruszonym, nic to nie szkodzi. Dostają się wprawdzie nieco później do wiadomości Czytelników, ale są zato tem pewniejsze, zresztą znane są ogółowi z pism codziennych, a tu podane powtórnie, ale oblane kronikarskim sosem, który nawet i przez dłuższy czas nic na smaku nie traci.

Poprzednią kronikę zacząłem smutno, skończyłem zaś weselej, podając garść wiadomości, każących wnosić, że sytuacya z dniem każdym coraz bardziej się polepsza, zwłaszcza, o ile to nas dotyczy, wobec czego należy być dobrej myśli, gdyż wszystko musi się dobrze skończyć.

Urwałem, właściwie nie ja, ale pan „łamacz“ (metrampaż), na zajęciu Wilna, Lidy, Grodna, Nowogródka i t. d., przez wojska polskie, które zmusiły bolszewików do cofnięcia się ku wschodowi, co niewątpliwie bardzo smutnem echem musiało się odbić w sercach Niemców, dążących stale do tego, by zerwać unię Litwy z Polską.

Do tego tematu obecnie wracam, ale umieszczam go na pierwszem miejscu, bojąc się, by go nie spotkał tensam los, co poprzedniego tygodnia. Ucięto mu w najohydniejszy sposób cały ogon, wiadomo zaś chyba ze sporu Rejenta z Assesorem w „Panu Tadeuszu“, co wart jest chart bez ogona...

Temat kronikarski to wprawdzie nie chart, ale i u niego ogon, choć jest zwykłym rzeczy porządkiem z tyłu, ma często pierwszorzędne znaczenie.

I tak też było w tym wypadku.

Skończyłem na odzyskaniu Litwy, ale mi już miejsca nie stało, aby dodać, że dziwnym zbiegiem okoliczności i zrządzeniem losu dowódcą wojsk polskich na froncie litewsko-białoruskim, postępujących ciągle w zwycięskim pochodzie, był generał Szeptycki, brat metropolity „ukraińskiego“ ze Lwowa, bynajmniej nie uchodzącego za przyjaciela Polaków, choć nie tak dawno został Ukraińcem z krwi i kości.

Natomiast niezbyt pocieszającą jest wiadomość, że w Królestwie Kongresowem pozostaje na utrzymaniu rządu polskiego z górą milion bezrobotnych.

I tutaj dopatrzyć się można obcych wpływów. Niektórym z sąsiadów zależy na tem, aby u nas nie było nigdy ładu i porządku, ale dziwić się trzeba uświadomionym prowodyrom, że do tego pomagają. Że tłum nierozumny idzie za nimi, to łatwo zrozumiałe, gdyż wiedzą, jak go wziąć na lep i obiecują mu stale złote gruszki na wierzbie. Ale ci, którzy tu w kraju tym ruchem kierują, jeśli w samej rzeczy są uświadomieni, chyba zdają sobie sprawę z tego, do czego dąży ich robota i że nie działają na korzyść ludu pracującego, ale właśnie tych, którzy byli, są i będą zdeklarowanymi jego wrogami. Subskrybujmy pożyczkę państwową, a bezrobotni ją zjadają, nie mając ochoty jęcia się pracy, gdy widzą, że się im płaci za próżnowanie.

Uświadomieni niech się więc opamiętają i wpłyną na nieuświadomionych, mówiąc im: „Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie!...“

Dziwię się znanym z energii Królewiankom, że się nie zabiorą seryo do swych próżnujących mężów, braci i synów i nie wybiją im z głowy (albo i skądinnąd!) ich przewrotowych teoryi, narażających kraj na straty materyalne i moralne. Piękny przykład dały niedawno Kaliszanki, gdy bolszewicy przybyli do nich na gościnne występy. Obeszły się z nimi bardzo niegościnnie.

Tak, jak Królestwo nęka plaga bezrobocia, nam daje się stale we znaki paskarstwo, uprawiane na coraz większą skalę. Paskarze wstępują w ślady biblijnego Józefa, który przewidując siedm lat chudych magazynował zapasy żywności i gromadzą skrzętnie co się tylko da, w mieszkaniach, magazynach, piwnicach, nawet w domach modlitwy. Ale gdy ów biblijny Józef robił to w interesie ogółu, dzisiejsi jego naśladowcy czynią to dla własnej korzyści i dlatego zasługują na potępienie.

Z kar, jakie na nich spadają pod postacią aresztu i grzywien, poprostu śmieją się, bo od czegóż cały alembik urzędowy z rozmaitemi instancyami, do których można się odwołać. Na tem dobrze wychodzą, robiąc rekursy, adwokaci, sprawa się przeciąga, a oni dalej bawią się paskarstwem, by zebrać fundusze i na grzywnę i na wygodne życie po powrocie normalnych stosunków.

Ponieważ dzień pierwszego maja ma być świętem proletaryatu, a ten proletaryat, tak robotniczy jak i urzędniczy, najbardziej przez nich cierpi, byłoby wskazanem, aby w tym właśnie dniu urządzić frajdę narodowi, na Rynku i publicznych placach sprawić paskarzom suchą łaźnię, po południu zaś na Błoniach możnaby nawet największego z pośród nich powiesić.

Blady strach ogarnąłby te hyeny w ludzkiem ciele, a społeczeństwo odetchnęłoby swobodniej. Czy na długo?... Sądzę, że tak, gdyż podobne operacye możnaby częściej powtarzać, ilekroć się kogoś przychwyci na paskarstwie. Bezpośrednio z sądu na Rynek i egzekucya, potem może sobie rekurować nawet do Pana Boga!... Obecnie pobyt w kryminale uważają za wypoczynek po ciężkiej pracy obywatelskiej... Gdyby im bowiem, w czasie pobytu w gościnnych murach świętego Michała, kazano bodaj zamiatać ulice!... Przynajmniej byłby z tego jakitaki, choć niewielki pożytek!

Tak się przecież nie stało. I dzień pierwszego maja minął dla nich spokojnie, a objawy „gniewu ludu“ przeszły i teraz jakoś szczęśliwie, nie pozostawiając po sobie ani znaków, ani skutków.

Ale, co gorsze, sytuacya wogóle się zmieniła i to bynajmniej nie na lepsze. Nadzieje, jakie żywiliśmy przez cały tydzień, zaczynają powoli pryskać i rozchodzić się w powietrzu, jak ów dym z cygara, o które dziś tak trudno!...

W pierwszym rzędzie pan minister Klofacz wylał nam za kołnierz kubeł zimnej wody, zapewne gwoli otrzeźwienia, oświadczając, że Czesi przy tworzeniu granic nowych państw są wprawdzie za tem, aby zwracano uwagę na względy historyczne i etnograficzne, ale, o ile ich to dotyczy, to na pierwszem miejscu stawiają przemysłowe, wobec czego ani myślą o zrzeczeniu się swych „słusznych“ pretensyi do Śląska, który dla ich przemysłu jest koniecznie potrzebny, co jednak nie wyklucza, że Polacy mogą dostać jakiś tam kawałeczek śląskiej ziemi, nie mający dla nich żadnej wartości.

Co na to powie koalicya, trudno przewidzieć, gdyż źle się dzieje w państwie duńskiem. Rada czterech przypomina starą kanapę o trzech nogach, obraduje bowiem w składzie tylko trzech członków, gdyż Orlando *furioso* pogniewał się na seryo na Wilsona, a przez niego i na całą konferencyę i pojechał do Rzymu, mówiąc:

— Radźcie dalej, ale bezemnie!

Ze sposobności skorzystała Japonia, mająca też uzasadnione pretensye do koalicyi, a koalicya to przecież Wilson i dalejże robić „perskie oko“ do Włoch, aby nie straciły ducha i wytrwały w uporze, a dostaną, co im się należy... Zawsze to pewniej, gdy się ma towarzysza niedoli... We dwu można zresztą więcej zdziałać i bardziej nastraszyć, niż w pojedynkę.

Czy się Rieka należy Włochom, to inna kwestya. Zauważyć należy, że apetyt ich staje się coraz bardziej nienasyconym. Kronikarz w tym wypadku podziela zdanie Wilsona i twierdzi, że port ten zupełnie słusznie przyznano południowej Słowiańszczyźnie.

Ale, skoro się tak otwarcie mówi o Riece i tłumaczy się Włochom na rozum, że nie mają do niej żadnego prawa, dlaczego się nie znajdzie ktoś taki, choćby nawet i sam pan Wilson, i nie powie Niemcom że Gdańsk musi należeć do Polski... Na to jakoś nikt nie może się zdobyć oficyalnie, bo to, co tam półgębkiem, w chwili dobrego humoru, mówią przy kieliszku różni politycy, a gazety powtarzają przekręcone, zależnie od tego, jak im jest na rękę, nie warte jest i funta kłaków i żadnej do tego nie można przywiązywać wagi.

Sprawa Gdańska i Rieki są zupełnie identyczne, tymczasem o tej ostatniej mówi się głośno i otwarcie w osobnem orędziu, a Gdańsk zostaje w tyle, aby nie drażnić przeciwnika, któremu wprawdzie wybito zęby, ale zostawiono jeszcze pazury. A drapieżna to bestya, Gdańsk zaś działa nań zupełnie podobnie, jak czerwone sukno na hiszpańskiego byka.

Niedawno miał być Gdańsk polski, obecnie dochodzi konferencya pokojowa do przekonania, że powinien być neutralny pod opieką Ligi narodów, która tam ma mieć swego delegata.

Aby zaś Polacy nie potrzebowali samolotami dostawać się do Gdańska, gdyż i powietrze nad niemiecką ziemią jest niemieckie, zapewni koalicya Polsce wolny korytarz, aby się tam znaleźć. Ale przez ten korytarz ma przechodzić drugi, taki sam, ale poprzeczny, łączący Prusy zachodnie z wschodniemi i ułatwiający do nich dostęp.

Jest to więc jakaś nowa polityka, nazwijmy ją „korytarzowa“. Choć właściwie nie jest to nic nowego, gdyż już poseł Daszyński, za życia jeszcze ś. p. Austryi, gdy nam pozwolono łaskawie cieszyć się nadzieją wolności, mówił jedynie o polskim „korytarzu“ do morza. O samym Gdańsku wówczas się nie mówiło, ani pisało, gdyż można się było za tę zbrodnię dostać na odcinek włoskiego frontu przy ulicy Montelupich.

Sprawy tak więc stoją, a raczej wiszą, że można je zupełnie słusznie porównać z wahadłem zegara, wychylającem się raz na prawo, potem znów na lewo. I z Gdańskiem i z Cieszynem i z innymi kawałkami ziemi, do których mamy pretensye, w tym tygodniu jest tak, w następnym zupełnie inaczej.

A konferencya pokojowa radzi i radzi, ale jakoś nie może w żaden sposób dojść do ostatecznego rezultatu i ogłosić światu, jakie są warunki definitywnego pokoju i czego kto może się spodziewać. Ba... nie mogą nawet sformułować preliminaryów przedwstępnego pokoju z Niemcami, których delegaci zjechali już do Wersalu i czekają. Złośliwi twierdzą, że będą się tam musieli tak długo zatrzymać, dopóki się nie nauczą mówić po francusku z prawdziwym paryskim akcentem.

Ze sprawą pokoju ma się rzecz, jak z wojskami Hallera. Nie mogły one w żaden sposób wyjechać z Francyi, ale skoro to się już raz stało, może Bóg da, że i pokój zostanie raz przecież zawarty. A byłby chyba czas najwyższy, byśmy już raz odetchnęli, zwłaszcza, że Ukraińcom może bardzo łatwo zabraknąć amunicyi do ostrzeliwania Lwowa, a po nim Winnik. Pan Pawlenko strzela ciągle, aby Polacy nie zapomnieli przypadkiem o nim i o zaproponowaniu przezeń zawieszenia broni. Ale, o ile się w tym kierunku rozpocznie kroki tu na miejscu, nie godzą się na to i wybierają sobie Paryż, a gdy stamtąd idzie inicyatywa, oświadczają, że tylko w kraju mogą mówić o tem, co ich boli...

I tak idzie ciągle w koło Macieju!... Na całej tej polityce ani rusz się wyznać i to nie tylko zwykłemu śmiertelnikowi, znającemu ją z tytulików artykułów w *Kuryerku*, ale nawet fachowcowi, który na niej zjadł zęby. Najgorsze zaś to, że ci, którzy mogliby powiedzieć ostatnie słowo, nie chcą tego uczynić, jak gdyby im na tem zależało, aby obrady trwały jak najdłużej, a oni ciągle pobierali dyety.

Wstrzymać w takim razie ich wypłatę, a rychło będzie koniec.

A tu, jak na dobitek tych wszystkich kłopotów zewnętrznych, mnożą się i wewnętrzne... Zagrozili strajkiem, a może nawet już i zastrajkowali kucharze, żądając po tysiąc koron miesięcznej gaży i rozmaitego rodzaju świadczeń ze strony chlebodawcy (między innemi: codziennie flaszkę gorzkiej wody celem restauracyi żołądka, zepsutego kosztowaniem potraw i corocznego płatnego urlopu na wyjazd do Karlsbadu z tego samego powodu).

Czytając ich postulaty, pomyślałem sobie, jak to los z niektórymi ludźmi obchodzi się po macoszemu, niektórych zaś na każdym kroku popiera, tak, jak w tym wypadku kucharzy. I zacząłem im zazdrościć, ale, broń Boże, bynajmniej nie ze wzlędu na ową gorzką wodę, boć, aby się nią miało raczyć, musi się mieć po czem, czyli mieć odpowiedni podkład. A na tem chyba kucharzom nie zbywa!... Takich zaś szczęśliwców, którym w tych ciężkich czasach brzydnie jedzenie, tyle go mają i radziby się go pozbyć jak najprędzej jest stosunkowo bardzo mało między nami, czego dowodem, że od lat czterech z górą nikt w żadnej aptece nie kupił ani za halerza żadnego „niezawodnego“ środka na schudnięcie. Schudniemy w sposób zupełnie naturalny i, jeśli tak dalej pójdzie w tem samem tempie, za rok lub dwa nie będzie z nas ani śladu. Ten przyschnie do stołka, tamten do ściany, nasze zaś miejsca zajmą *hominus novi*, których ojcowie „robili w pasku“.

Tak jak kucharze, organizują się podobno i pomocnicy golibrodów i żądają pięknej płacy, ośmiogodzinnego dnia roboczego, odpowiedniego deputatu perfum, aby każdy z nich „woniał“ zdaleka, niczem otwarty flakon, co musi za sobą naturalnie pociągnąć podniesienie taksy za operacye, jakich się w oficynach fryzyerskich dokonuje. Szczęśliwi więc łysi, albowiem oni bodaj strzydz się nie potrzebują!

Jedni tylko nie myślą jakoś o swym losie i nie grożą strajkiem, w razie nieuwzględnienia ich żądań, a tymi są egzekutorowie. To bezrobocie byłoby z pewnością bardzo mile powitane przez ogół zalegających z podatkami i innemi opłatami. Ale czegoś podobnego spodziewać się nie można, gdyż jest to ludek bardzo pracowity. Dowód dała ich głowa, zajmując się prócz zawodowych czynności, także i pasłkiem tytoniowym.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

38

— Hm.. — panna Frania skierowała nagle rozmowę na najświeższe mody wiosenne, opowiedziała, że zamierza sobie sprawić jedwabny kostyum i odpowiedni do niego kapelusz, poczem jęła się zbierać do odejścia.

— Pa! Jula, spieszy mi się.

— A cóż to tak ważnego miałaś mi do powiedzenia, że aż wyprosiłaś pana Milewicza?

— Eh! To nic... Głupstwo, innym razem ci powiem.

Już jej nie było w pokoju. Pozostała tylko silna woń heliotropowych perfum, któremi Frania obficie skrapiała suknie.

Julia pozostała sama dziwnie zaniepokojona. Obawiała się czegoś, nie zdając sobie dokładnie sprawy, czego się właściwie lęka.

Wiedziała tylko, że gdyby mogła Milewicza zobaczyć choć przez chwilę uspokoiłaby się zaraz. Przyszło jej na myśl, że może spotka go na ulicy, jeżeli zaraz wyjdzie z domu.

Włożyła kapelusz i szybko zbiegła po schodach i z ciemnej bramy wpadła w topiel złotych, ciepłych promieni słońca majowego. Olśniona blaskiem przysłoniła ręką oczy, a kiedy przywykła już do światła, jęła rozglądać się, czy nie zobaczy gdzie Milewicza.

Nie szukała napróżno. Istotnie zobaczyła go idącego po przeciwległym chodniku. Szedł obok Frani Grabkówny i rozmawiał z nią bardzo żywo. Tak był zajęty swoją towarzyszką, że panny Ożarskiej nie zauważył wcale. Frania kiwała głową, „strzelała“ oczyma i pokazywała białe zęby w uśmiechu zalotnym.

Słońce świeciło wciąż jasne, promienne, ale Julii Ożarskiej pociemniało nagle w oczach. Z wyschniętem gardłem, z bolesnym skurczem serca stała długą chwilę, spoglądając za Franię i Milewiczem, dopóki jej nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Wieczorem daremnie czekała z kolacyą na Milewicza. Nie przyszedł...

ROZDZIAŁ X.

Życie mści się.

Rózia Goldbaumówna wracała do domu już po dziesiątej. Była u Borowickich, by pomódz trochę Wandzie w czuwaniu nad chorym ojcem, bo biedna dziewczyna, wyczerpana lekcyami, gospodarskiemi zajęciami i nieprzespanemi przy łóżku chorego nocami, upadała formalnie ze znużenia.

Rózia chciała nawet zostać na całą noc, ale Borowicka prawie gwałtem wyprawiła ją do domu, lękając się interwencyi Goldbaumów. Pomoc ta zresztą była już o tyle zbyteczną, że przyszedł Michał Ruda, którego trudno było prześcignąć w troskliwości i umiejętnych staraniach. Nikt tak nie umiał dogodzić profesorowi jak on.

— Co to za dobry chłopak i jak on Wandzię kocha — myślała Rózia — a ona cierpi przez tego wymuskanego karyerowicza. I nie zrywa z nim, choć on jej daje dziesiątki powodów. Co to za fatalna siła miłość. A gdyby tak Tadek był podobny do Rawicza, czy kochałabym go pomimo tego? Nie! Nie! Jak ja mogę nawet porównywać Tadka z tamtym! Biedny Tadulek! Co on tam teraz porabia?...

Noc była cicha, ciepła, gwiaździsta, pachnąca jaśminem i różami.

Rózia podniosła oczy ku gwiazdom migocącym na firmamencie, wdychała woń kwiatów, płynący z każdym powiewem wiatru, dumała o wielu, wielu rzeczach. Nie wesołe były to myśli. Dziewczyna czuła, że jej smutno i tęskno. Jakiś przechodzień zaczepił ją brutalnie, żachnęła się i przyspieszyła kroku.

Już niedaleko domu przesunęła się koło niej szybko jakaś niewielka postać w płaszczu z podniesionym do góry kołnierzem i czapce nasuniętej głęboko na oczy.

Światło latarni padło na tę dziwacznie i podejrzanie wyglądającą figurkę. Rózia spojrzała mimowoli i wydało się jej nagle, że poznaje rysy twarzy brata.

— Poldek! — chciała zawołać zdumiona, ale tajemnicza postać zniknęła już, jakby cieniem tylko była.

Rózia nie wiedziała co o tem spotkaniu myśleć. Czyżby to był naprawdę Poldek? Ale cóż on mógł robić o tej porze na mieście i tak dziwnie ubrany?

Zastanowiła się. Może chłopak tak przedwcześnie wykrada się na poznawanie brudnych uciech nocnego życia miejskiego?

Ale nie! To niepodobna!

— To chyba nie był Poldek. Musiało mi się zdawać tylko. Zresztą jak przyjdę do domu, to się przekonam. Ale Poldek śpi już pewnie, albo czyta kryminalne powieści. Ten chłopak pożera poprostu tę idyotyczną, niezdrową lekturę. Już nawet Sienkiewicza zarzucił, tylko Sherloki Holmesy czyta.

Rózi otworzyła drzwi matka. Był to wypadek dość niezwykły, bo Goldbaumowa lubiła wcześnie chodzić spać. To też Rózia zdziwiła się i zaniepokoiła nawet nieco.

— Mama nie śpi jeszcze?

— Ja czekała na ciebie. Gdzie ty tak długo była?

— U Borowickich.

— Po co ty tyle siedzisz u tych „gojów“ i to u takich „kapcanów“. Co tobie z nich! Ojciec się gniewa o to.

— Dobranoc, mamo! — Rózia nie wdając się w żadną dyskusyę skierowała się do swego pokoju. Ku wielkiemu jej zdziwieniu matka potoczyła się za nią na swoich krótkich, tłustych nogach.

— Rózia...

— Co, mamo?

— Ja tobie chciała coś powiedzieć.

— Słucham. — Rózia zdjęła kapelusz i bluzkę i okryła ramiona białym, nocnym kaftanikiem, ozdobionym haftem.

— Leon Klugfeder był znowu dzisiaj.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyjąwszy szpilki z włosów, jęła układać na noc warkocze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

13

— Dobrze, dobrze, niech pan zachowa swoją przepaskę na oczach. Ale, gdy pan znajdzie się w towarzystwie tej nieposzlakowanej wdowy, to proszę przypomnieć sobie naszą rozmowę i obserwować trzeźwo.

Wracając ulicą Lépic Ginetta trapiła się, że działała zbyt szybko i nieoględnie. Grantouvre zapewne uprzedzi Marion o jej podejrzeniach i ta wówczas stanie się jeszcze bardziej ostrożną. Zazdrość jest złą doradczynią, a otwartość zawsze pomyłką.

Ginetta nie miała racyi w tym wypadku. Malarz dotknięty do żywego w swem najgłębszem uczuciu, postanowił milczeć. Skoro pani Etiennant odeszła wziął obraz ze stalug, ustawił w pełnem świetle i mówił tkliwie:

— Prawda, ty nie umiesz kłamać? Te usta nie oszukują? Tyś czysta i godna najczystszej miłości, najwyższego uwielbienia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Odjazd Franciszka wywołał u jego narzeczonej nastrój melancholijny i przygnębiony. Sercem dziewczyny szarpały niepokoje i złe przeczucia.

Nietylko tęskniła za Franciszkiem, ale poczynała rozumieć, że w pożyciu małżeńskiem rodziców zachodzi jakieś poważne przesilenie.

Domyślała się, że powodem tych niesnasek jest jej przyszła teściowa, dręczyła się różnemi przypuszczeniami.

Kochała głęboko ojca, szanowała matkę, miała dużą sympatyę dla Marion, a jednak nie mogła tym tak bliskim jej osobom nic dopomódz. Nie mogła wpłynąć na akcyę życiowego dramatu, który musiał się rozegrać.

Marion również nie czuła się dobrze. Nie mogła sypiać po nocach, dręczona wyrzutami sumienia, wspomnieniem o mężu, a przedewszystkiem paniczną trwogą przed Ginettą.

Czuła, że w tamtej muszą zbudzić się podejrzenia, które zechce sprawdzić. Rozumiała, że stosunek pomiędzy nią a Klaudyuszem, jeżeli będzie trwał dalej, to pewnego pięknego dnia musi być zdemaskowany.

A Ginetta nie cofnie się przed skandalem!...

I wówczas...

— Alez mój syn — mówiła sobie Marion — jest żołnierzem, śmierć grozi mu co chwila i on ma poślubić córkę tej kobiety, którą ja zdradzam, oszukuję..

I nie znajdowała w sobie innej myśli, innego usprawiedliwienia prócz: „Umrę, jeżeli utracę Klaudyusza. Moje dziecko nie może życzyć mi śmierci. Janka go kocha i nie porzuci. Prawdziwa miłość zwycięża wszystko!“

W ten sposób usiłowała ze swego egoizmu wykrzesać jakieś iskry nadziei.

Te rozmyślania tak ją dręczyły, że postanowiła zwierzyć się komuś. Jedynym człowiekiem, któremu mogła uczynić takie wyznanie był Fabiusz Grantouvre. Zdecydowała się, że pójdzie do niego.

Malarz pracował właśnie nad portretem, kiedy weszła Marion z oczyma rozszerzonemi bezsennością, ze spieczonemi wargami, osłabiona, zdenerwowana i piękniejsza niż kiedykolwiek.

Fabiusz zmieszał się i wybąkał jakieś niezrozumiałe pozdrowienie.

Marion może nawet nie słyszała tego, bo odrazu rzekła mu:

— Drogi Fabiuszu, przychodzę tutaj do ciebie, aby odzyskać spokój duszy i równowagę umysłu. Od kilku dni życie stało się dla mnie męką. Dręczą mnie najgorsze myśli. Wysłuchaj mnie pan, nie przerywając. Błagam cię o to...

Grantouvre w jednej chwili objął myślą sytuacyę. Zrozumiał, że brzydka, zazdrosna żona Klaudyusza Etiennant powiedziała prawdę.

Przygotował się na tortury duchowe, przyczem udało mu się zachować naturalny, spokojny wyraz twarzy. Tylko ręce, trzymające paletę drżały lekko.

— Przyjacielu drogi, daleś mi dowody wielkiego przywiązania. Musisz zrozumieć dlaczego cię obrała za mego powiernika, prawie za spowiednika. Ciężar to zbyt wielki na moje barki, nie mogę go udźwignąć sama, muszę podzielić się z kimś. Oddaj mi tę przysługę, drogi przyjacielu...

Grantouvre szepnął:

— Proszę, mów pani...

Marion przybliżyła się do malarza i położywszy mu głowę na ramieniu wyznała tonem dziecka, które wie, że zbłądziło:

— Od kilku tygodni jestem kochanką Klaudyusza. Wiem, że jestem podła, chciałabym umrzeć, ale nie mam siły rozstać się z nim. Jestem kobietą shańbioną, zgubioną.

Grantouvre mógł się dobrze opanować dzięki temu, że ta rewelacya nie była dla niego nie spodzianką.

Nie uczynił żadnej wymówki tylko zapytał prawie zupełnie spokojnie bez wzruszenia:

— Jakże to się stało? Opowiedz, dziecko, opowiedz wszystko.

Uczyniła zadość jego żądaniu. To opowiadanie, które on jeszcze godzinę temu uważałby za absurd i oszczerstwo, przyszło jej z zadziwiającą łatwością. Podała różne szczegóły, wymieniła ulicę des Ombres bez wahania, bez osłonek, bez wstydu.

Grantouvre naprzód przygnębiony, potem oburzony w miarę opowiadania Marion poczynał interesować się tą historyą miłosną, która mu przypominała własną jego młodość.

Kiedy skończyła, zalewając się strumieniami łez, objął ją ramieniem, ucałował po ojcowsku w czoło i trzymając jej rączki w swoich dłoniach jął pocieszać:

— Skończyłam — rzekła Marion, opuszczając głowę na piersi — wie pan teraz wszystko. Więc cóż mi pan doradzi?

Obawiając się, że niedokładnie wyraziła się, sprecyzowała swoje zapytanie:

— Co mam robić?

— Gdybym powiedział: zerwać, to powiedziałaby pani, że to niemożliwe. A jednak to jest jedyne wyjście, kochana pani Marion, bo przecież nie możesz poślubić Klaudyusza...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.
Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znanego współczesnego polskiego malarza.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — —
■ — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■
```

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Imię żeńskie. 3) Miasteczko w Galicyi środkowej. 4) Postać z dziejów napoleońskich. 5) Góry w Europie. 6) Zwierze owadożerne. 7) Francuska rodzina książęca. 8) Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył Niedopytalski z Krakowa.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek ułożyć znany dwuwiersz z „Pana Tadeusza".

-a--y-a-y--u--y--o-ią-o-o-i-i,
--ó-e-o-ie---a-y-a---y-ó--u--o--i-ie-!

Zadanie do przestawienia.
Ułożyła K. W., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Epik pop pił echo!.. o!... o!...

Okienko.
Ułożył Jaś Mazgaj z Zakopanego.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a e
e   k   k
k k o o o
o   o   o
r r t z z
```

Znaczenie wyrazów: 1) Taniec. 2) Miasteczko w Galicyi zachodniej. 3) Rodzaj zatyczki.

Bilety wizytowe.
Ułożył Cz. Kozłowski, Piotrków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

MIECZ. J. KANNIK.

TEA COWIS.

O. C. DAWAST.

T. FARKO.

ST. J. PENICIN.

Łamigłoski.
Ułożył X. Y., Kraków.

Wyrazy tak ustawić, aby ich środkowe litery podały nazwisko znanego polityka:
ale, aga ego, era, koc, Men, Odo, Ren, ton, syn, ule

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył K. B., Warszawa.

Z podanych liter ułożyć wiekopomne wydarzenie w dziejach Polski przedrozbiorowej:
a, a, a, c, c, e, e, g, i, j, k, m, n, o, o, r, s, t, t, t, u, y, y, z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania powieść A. Gruszeckiego „Po ślubie".

Rozwiązanie zagadek z Nru 17

Łamigłówka. Rękawka. Emaus

Zadanie do przestawienia. Jedna jaskółka nie przynosi wiosny.

Bilety wizytowe. Farmaceuta. Wikaryusz. Lekarz sądowy. Pisarz. Organista.

Okienko. Rumak. moksk. kokos.

Trójkąt magiczny. Paderewski.

Zadanie na rozsypane litery. Raz kozie śmierć!

Kwadrat magiczny. Kraków.

Dobre rozwiązania nadesłali pp. M. Zaleska Lwów, S. Maresz Warszawa, S. Krzyżanowski Warszawa, H. Trzeciak Kraków, M. Sakowski Poznań, J. Rojek Lublin, Z. Osadowski Tarnów, J. Opolski Lwów, K. Galiński Przemyśl, J. Nowicki Kraków, J. Rosenbaum Rzeszów, S. Christ Zakopane, W. Borkowski Brzesko, Z. Walkowski Tarnów, O. Koppel Wiedeń, M. Dziurz ńska Wadowice, T. Lewicki Jasło, K. Radoszewski Kraków, S. Mróz Tarnów, L. Kowalcki Warszawa, J. Hut Lwów, K. Radziszewski Zakopane, K. Raszka Cieszyn, J. Rychlik Kraków, M. Wyka Przemyśl, S. Sosnowski Lublin, J. Jaworski Lwów, H. Guzik Kraków, D. Kohn Kraków, S. Kalczyński Rozwadów, J. Kański Lwów, M. Leszczyński Kraków, J. Wieczyński Kraków, J. Zachara Kraków, M. Kot Przemyśl, Z. Balicki Jasło, H. Wróblewska Kraków, M. Karczowska Podgórze, J. Kozik Kraków, J. Treter Podgórze, M. Bernstein Zakopane, R. Kinalski Lwów, S. Link Warszawa, J. Matyka Lwów, H. Dworzański Piotrków, M. Wisłocka Kraków, J. Majer Tarnów. M. Planecka Kraków, K. Majewski Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **p. J. Treter Podgórze.** Na poleconą przesyłkę nagrody należy nadesłać 15 halerzy.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St Lipińskiego Odpow redaktor M Lipińska Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego